

ZWIĄZANI

O ZWIĄZKU LITERATÓW POLSKICH Z ANDRZEJEM CHOJNOWSKIM, SEBASTIANEM LIGARSKIM – HISTORYKAMI I JOANNĄ SIEDLECKĄ – PISARKĄ ROZMAWIA BARBARA POLAK

B.P. – Przed II wojną światową istniał Związek Zawodowy Literatów Polskich, założony przez Stefana Żeromskiego w 1920 r. Zrzeszenie o charakterze związkowym mieli też aktorzy. Przedwojenne związki zawodowe twórców miały za zadanie bronić ich spraw materialnych, chociażby w kontaktach z wydawnictwami. Związki twórcze powstałe w peerelu w końcu lat czterdziestych zmieniły ten charakter.

J.S. – Rzeczywiście, przedwojenna działalność związkowa literatów miała wyłącznie charakter zawodowy...

A.C. – ...ale przecież była też istniejąca w latach trzydziestych Polska Akademia Literatury...

J.S. – ... która nie miała jednak charakteru masowego. Liczyła tylko piętnastu członków, wybieranych *notabene* przez czytelników.

A.C. – Na pewno funkcjonowanie Akademii posiadało wymiar polityczny – PAL była krytkowana przez środowiska opozycyjne wobec sanacji za zbyt uleganie wpływom obozu rządowego. Jako ciekawostkę można potraktować fakt, że honorowe członkostwo Akademii przyznano prezydentowi Ignacemu Mościckiemu. Powojenny Związek Literatów Polskich miał również troszczyć się o sytuację materialną pisarzy, ale jednocześnie przewidziano dla niego inne funkcje – głównie doprowadzenie do tego, aby twórcy włączyli się w kształtowanie oblicza kulturalnego Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Była to więc organizacja związkowa, ale z bardzo wyraźnymi zadaniami politycznymi.

B.P. – Było to uwiarygodnianie się komunistów przez kupowanie, czy zjednywanie elit.

J.S. – W wolnym, demokratycznym świecie nie ma takich, upolitycznionych związków literatów, to pomysł sowiecki. Owszem, przed wojną był właśnie ZZLP, który załatwiał wyłącznie sprawy typu kasy zapomogowo-pożyczkowej, nawet Witkacy do niego należał, właśnie z powodu pożyczek. Dlatego niewiele o nim wiemy, bo nie miał roli ideologicznej. Do 1949 r., do Zjazdu w Szczecinie, gdzie zadekretowano socrealizm, powojenny związek nadal nazywał się zawodowym. Na Zjeździe zmienił nie tylko nazwę, ale i funkcję. Oficjalnie stał się związkiem twórczym, ale tak naprawdę – ideologicznym, kontrolującym życie pisarza, jego sprawy osobiste, prywatne, nie tylko twórczość. Następowata kolektywizacja życia społecznego i literackiego – łączyły się pisma, partie, stowarzyszenia, żeby łatwiej i taniej było kontrolować ich członków. Związek twórczy stał się potrzebny władzy, a nie pisarzom. Był tworem sztucznym.

S.L. – Po zainstalowaniu swojej władzy komuniści zostawili pisarzy na chwilę w spokoju, zajmowali się innymi sprawami. Trzeba było spacyfikować opozycję polityczną, szczegó-

nie PSL, fizycznie zlikwidować członków WiN i ugrupowań narodowych, zdławić przejawy oporu społecznego. Związku zawodowego pisarzy nie ruszano tym bardziej, że niektórzy literaci mogli być przydatni – część z nich efektywnie i efektownie włączyła się w budowę nowego ustroju (Jerzy Andrzejewski, Wiktor Woroszyński, Andrzej Braun, Tadeusz Konwicki, Wisława Szymborska, Zofia Nałkowska, Julian Tuwim i wielu innych). W roku 1949 praktycznie rozpoczął się tzw. okres stalinowski – opozycja polityczna nie istniała, WiN został całkowicie rozbitý, dobijano opozycyjne grupki. Można było zabrać się już za porządki w środowiskach twórczych. Było w nich jeszcze przynajmniej kilkanaście osób, które trzeba było wyeliminować drastycznymi metodami, czyli terrorem.

B.P. – Tych kilkanaście osób to kto?

S.L. – Chociażby ludzie związani z przedwojennym harcerstwem. Charakterystyczny jest przykład Stefana Łosia. Miał przedwojenne korzenie tkwiące w „reakcyjnym społeczeństwie”, więc swoim pisarstwem mógł „wyrządzić dość dużo szkody”. Należało go spacyfikować. To nie były łagodne środki. Stosowano terror fizyczny i psychiczny. Ci ludzie, mówię tu o pozostałych, byli łamani torturami, po wyjściu więzienia umierali lub już nigdy nie potrafili otrząsnąć się z doznanych krzywd i upokorzeń.

J.S. – Trzeba to jasno powiedzieć – literatura była dla komunistów frontem ideologicznym. Jest nawet książka Jerzego Putramenta pod znamienym tytułem *Na literackim froncie*.

A.C. – Państwo stało się producentem kultury, nie tylko mecenasem. Przed wojną pisarze szli do prywatnego wydawnictwa, które ich książkę kupowało lub nie. Niektórzy mogli z pisanja żyć, pozostali musieli zarabiać wykonując inną pracę.

B.P. – Dlatego ich flirty z partiami czy stronnictwami politycznymi nie miały takiego istotnego znaczenia.

A.C. – Gdy państwo stało się producentem kultury, musiało stworzyć odpowiednie, biurokratyczne kryteria. Prywatny wydawca nie jest niczym skrępowany, kieruje się własnym gustem i wyczuciem rynku. Gdy decyzje o losach książki przeszły w ręce urzędników, należało określić przejrzyste zasady ich podejmowania. W jaki sposób ów urzędnik mógł mieć pewność, że przychodzący do niego petent jest rzeczywiście pisarzem? Otóż legitymacją członkowska ZLP była takim uwiarygodnieniem. Pisarz z taką legitymacją mógł liczyć na państwowy mecenat, kto znajdował się poza związkiem – był w zupełnie innej strefie.

J.S. – Pisarze mieli swoje zdanie o związku, ale musieli do niego należeć. Kara wykluczenia była możliwością najstraszliwszą – wyrzuceniem za burtę...

A.C. – ...wyrzuceniem z zawodu...

J.S. – ...wygnaniem, przepędzeniem z literatury. Pisarze się tego bali, co było przez władze wykorzystywane. Wszyscy niepokorni bohaterowie mojej *Obławy* zostali ukarani wykluczeniem ze związku – Jerzy Braun, Wojciech Bąk, Władysław Grabski, Jerzy Kornacki, Ireneusz Iredyński. Koledzy wywalali kolegów. To była kara dotkliwa, bez związku było się bowiem

nikim, żadne wydawnictwo nie zawierało z taką osobą umowy, nie podpisywała książek na kiermaszu, nie miała żadnych wieczorów autorskich, promocji (wyjątkiem były debiuty).

A.C. – W dowodzie osobistym nie można było mieć wpisu „zawód: literat”, a pamiętajmy, że brak informacji o miejscu zatrudnienia narażał obywateli w PRL na niemałe kłopoty.

J.S. – Klucz ideologiczny był podstawą eliminowania pewnych grup pisarzy. Za zdecydowanych „wrogów” uznano „harcerzy” – Aleksandra Kamińskiego, Stefana Łosia, a także związanych z konspiracją narodową Jerzego Brauna, publicystę zlikwidowanego „Tygodnika Warszawskiego”. To były lata, gdy ludzi eliminowano fizycznie: aresztowany Braun dostał karę śmierci, wybito mu w więzieniu oko i wszystkie zęby, a Łoś zmarł zaraz po zwolnieniu. Chodziło o wyeliminowanie „starych”, „reakcyjnych”, żeby zrobić miejsce dla ich następców, dla „młodej gwardii”, choć nie brakowało wśród „starych” pisarzy światowej rangi, np. Jerzego Szaniawskiego, który wegetował w Zegrzynku, małej resztówce jego majątku, którą mu zostawiono. Usuwano „reakcję” rękoma młodych. Na słynnym zjeździe w Nieborowie napuszczano młodych „pryszczatych”, by atakowali „starych”, którzy i tak znajdowali się już na marginesie – czasami wręcz głodowali, nie mogli nic wydać. Przedwojenni pisarze mieli być usunięci z literatury. Chyba, że wstąpili do związku, poparli władzę, jak Jarosław Iwaszkiewicz, Zofia Nałkowska, których odpowiednio za to fetowano. W swoich powojennych *Dziennikach* Nałkowska opisuje wstrząsająco swój strach przed członkami z Koła Młodych, którymi się opiekowała i jednocześnie się ich bała, podejrzewała o otrzymywane anonimy.

B.P. – Pomysł eliminowania ludzi nie miał klucza wiekowego, tyle że ludzie w pewnym wieku, przedwojenni, uznani pisarze mieli określoną, „wrogą” formację moralną, ideową czy polityczną.

J.S. – Za dużo pamiętali, zbyt wiele wiedzieli. Stalin też zlikwidował przecież „starszyznę”, swoich najbliższych przyjaciół.

B.P. – W Związku Sowieckim swego rodzaju kolektywizacja kultury posunięta była znacznie dalej. Ludzie mieli swoje „adresy” – specjalne domy, osiedla dacz pod miastem. Nie chodziło tylko o stworzenie im warunków do pracy, lecz o poddanie ich dodatkowej, wewnątrzśrodowiskowej kontroli – groźnej, odbywającej się w atmosferze zawiści i konkurowania o przywileje i przyznawane dobra.

J.S. – Kolektywizacja twórców dotyczyła również Polski. Pisarze mieli być skupieni, zrzeszeni, „związkowieni”, co w samym założeniu jest jakimś szaleństwem – są przecież tak różni. To jest środowisko narcyzów, indywidualistów, bo inni literatury nie tworzą. W grupie są czymś tragikomicznym, a lokowano ich w jednym domu pracy twórczej, próbowano też, sowieckim wzorem, razem osiedlać. Były te słynne domy w Krakowie, a jeszcze wcześniej w Łodzi. Razem mieszkali, zaglądali sobie do garów i pod kołdry, nawzajem na siebie donosili. Byli skoszarowani, łatwiej więc było ich kontrolować.

B.P. – W wolnym świecie rzadko kto żyje z pisania, chyba że jest bardzo znanym i poczytnym pisarzem lub jest oświecony tak wielką potrzebą pisania, że bez niego

nie istnieje, nie może robić niczego innego. W peerelu kluczową rolę odgrywał ten zapis w dowodzie osobistym. Sztucznie stworzono pewną kategorię społeczną. Jeśli się było twórcą i formalnie się do niej nie należało, to było groźne, bo oznaczało bumelanctwo, a to już było karalne. Interesują mnie przykłady ludzi, którzy nie chcieli wchodzić w żadne związki z komunistami.

S.L. – To Tymoteusz Karpowicz czy Zbigniew Kubikowski. Uważali, że praca pisarza powinna być apolityczna. Mimo, że byli członkami ZLP – Kubikowski był przez kilka lat prezesem oddziału wrocławskiego. Karpowicz jest uważany za ojca duchowego „nowej fali” poetyckiej, do której zaliczają się między innymi Adam Zagajewski czy Stanisław Barańczak. Za wszelką cenę chcieli uniknąć sporów politycznych. W latach siedemdziesiątych polityka sama do nich przyszła. Kubikowski zaangażował się politycznie po stronie opozycji. Karpowicz wyjechał i pozostał na emigracji, choć bardzo tego nie chciał. Dziś już wiemy, że zmusiła go do tego Służba Bezpieczeństwa.

J.S. – Tylko w komunizmie można było żyć z pisania, z książek, nigdzie nie pracować, średni czy też słaby zostawał „literatem”. W całym świecie, a także u nas przed wojną pisarstwo było hobby, chyba że ktoś pisał kryminały, mógł wtedy żyć z pisania. Nowa władza dużo dawała. W rozmowie z Jackiem Trznadlem w *Hańbie domowej* Zbigniew Herbert powiedział, że peerelowskim pisarzom stworzono coś w rodzaju bezpiecznego akwarium, w którym obowiązywała jednak zasada – masz być uległy i pisać, jak ci każemy. To była cena. A tu przecież był peerel, czyli bieda. Wszystko, co dawało „akwarium” bardzo się liczyło – domy pracy twórczej, stypendia, wyjazdy, przydziały na samochód, mieszkania, i to nawet na Starówce, które stanowią dziś majątek. Można powiedzieć, że stworzono „nową klasę”, odizolowaną od społeczeństwa. Nie było ważne, czy ich książki się sprzedawały. Wydawano je w wielkich nakładach, które w całości szły często na przemiat. Byli pisarze, związkowi mandaryni jak Janina Broniewska, której co roku wznawiano w MON, w 100 tysiącach *Człowieka, który się kulom nie kłaniał*, o generale Walterze.



A.C. – Na zjazdach i naradach literatów, zwłaszcza regionalnych, mówiono przede wszystkim o pieniądzach, stypendiach, wczasach, stołówkach. O literaturze rządziej.

J.S. – Sprawa najważniejsza – czy byli tacy, którzy się temu oparli? Oczywiście, że tak. Ceną za to nie było więzienie czy stryczek, ale coś, w pewnym sensie gorszego – nieistnienie. Przykładem jest choćby Janusz Szpotański – wybitny satyryk, który nigdy do niczego nie należał. Ledwie egzystował i mawiał, żeby przejść przez „to” suchą nogą, trzeba było nie mieć nic, najwyżej tylko parę płyt, jakiś tapczan, i to u kogoś, kątem, bo bardzo długo nie miał mieszkania. Dostał je dopiero w okresie „Solidarności”, oprócz tego emeryturę, z której bardzo się cieszył, bo to były pierwsze, regularne pieniądze. Kolejny przykład to Zbigniew Herbert, który zadebiutował mając trzydzieści parę lat, dopiero po 1956 r., po Październiku, bo nie chciał pisać o Stalinie, składać hołdów tak, jak jego rówieśnicy. Ale tego typu postawa wymagała siły, bo gdy jego koledzy wydawali, istnieli – pracowali w Torf-projeckcie. Podobnie Leopold Tyrmand, który głodował w swoim pokoiku w YMCA i pisał do szuflady, wydał *Złęgo* w 1955 r. Nie włączyła się też grupa pisarzy związanych z „Tygodnikiem Powszechnym”...

A.C. – ...ci jednak mieli za sobą znaczącą instytucję.

J.S. – Ale byli z boku – Hanna Malewska, Antoni Gołubiew, Stefan Kisielewski, Jan Józef Szczepański... Gdy miał zostać prezesem ZLP, mówiło się – a, to ten katolik z Krakowa. Wcześniej, nie liczył się w związkowych rozsadach, mało wydawał, nie był lansowany. Jeszcze inny przykład „nieumoczonego”, w pewnym sensie *clocharda*, który jadał głównie biały ser, to Miron Białoszewski i jego grupa „Teatr na Tarczyńskiej”, „która wychynęła” również po Październiku. Do Związku niemal siłą zapisał go ktoś z jego gości, chyba Artur Sandauer. Dopiero wtedy dostał jakieś mieszkanie. Przedtem, pracował zdaje się na poczcie, mieszkał we wspólnym pokoju. Można więc było nie wstąpić do związku, nie uczestniczyć, ale za cenę nieistnienia, niebycia. Karpowicz też jest znakomitym przykładem. To twórca rangi najwybitniejszej, a zbyt mało znany. Dlaczego wyjechał, choć wcale tego nie chciał? Bo nie miał godziwych warunków „życiopisania”. Wielu wybitnych twórców przeganiano z kraju, bo nie mogli tu żyć i wydawać, choćby Tyrmanda, któremu nic po prostu nie wydawano.

B.P. – W którym momencie i dlaczego bezpieka zaczęła wchodzić aktywnie w to środowisko, umieszczając w nim swoich agentów i współpracowników?

S.L. – Można tu wyróżnić pewną periodyzację: do roku 1962 wszelkie próby kontestacji, przejawy opozycji Związek „załatwiał we własnym gronie”, przez partię. Wcześniej, jeśli UB interesował się związkami twórczymi i ich członkami – nie tylko literatami, bardziej nawet filmowcami – to ze względu na ich przeszłość („podziemie”, „sanacja”, „reakcja”), a nie ze względu na to co piszą i co robią. Likwidacja Klubu Krzywego Koła, którego aktywnymi uczestnikami było wielu literatów i związana z tym coraz głośniejsza krytyka poczyniła partii w dziedzinie kultury, wzrastająca aktywność paryskiej „Kultury” oraz londyńskich „Wiadomości” – wszystko to spowodowało, że SB zmieniła swoje podejście do tego środowiska. Był to również rezultat XIII Plenum KC PZPR, wytyczającego nowe kierunki ideologizacji kultury. Resort zaczął interesować się pracą pisarzy. Tym co piszą,

mówią, czym mogą „zaszkodzić” państwu i odkrył, że „nasylenie” agenturą, która by mogła i powinna informować o wszelkich przejawach kontestacji w tym środowisku jest niemal zerowe.

A.C. – Z tomu dokumentów o opozycji demokratycznej w materiałach partyjnych, które kiedyś wydali Łukasz Kamiński i Paweł Piotrowski wynika, że w partyjnej propagandzie bardzo długo, do lat siedemdziesiątych posługiwano się zbitkami językowymi, które stanowiły odwołanie do przedwojennej jeszcze rzeczywistości. Przeciwnikom politycznym przydawano miano „reakcjonisty”, „klerykała”, „zwolennika sanacji”. Przypomnijmy, że w trakcie nagonki na Koło „Znak” wiosną 1968 r., jego postów nazywano „resztówką reakcji w polskim sejmie”. W polu zainteresowań aparatu bezpieczeństwa praktycznie znajdowali się niekiedy tylko ci pisarze, którzy byli aktywni już przed wojną lub w czasie wojny – i to ze względu na ich ówczesną działalność. Do kontroli aktualnych poczynąń środowiska literatów wystarczył Związek Literatów, zwłaszcza jego organizacja partyjna. UB i SB nie były potrzebne w sytuacji, gdy na zebraniach partyjnych literaci sami składali na siebie publiczne donosy, w których wyciągano na jaw najbardziej intymne szczegóły z życia delikwenta stawianego pod prężeniem potępień.

J.S. – Głównym ramieniem SB była Egzekutywa POP, jej bastion ideologiczny i zarazem bojówka – oko władzy w ZLP. Destrukcyjna rola POP, a zwłaszcza jej Egzekutywy, nie została dotychczas opisana, to również świat nieprzedstawiony, choć często też orwellowski i groteskowy.

A.C. – Wedle znanej anegdoty, Jerzy Andrzejewski zemdłał, gdy zobaczył, że Janina Broniewska w trakcie jego wystąpienia szepcze coś do ucha członkom prezydium zebrania partyjnego. Pisarz nie bał się esbeków, czy ich tajnych współpracowników, którzy pewnie też siedzieli na tej sali, ale oficjalnej władzy związkowej w osobie swojej koleżanki.

J.S. – Janina Broniewska, przyjaciółka Wandy Wasilewskiej, nienawistna, pryncypialna, trzęsła Związkiem jako szefowa POP, budziła strach. Skoro po jej grymasie zemdłała nawet taka potęga, jak autor *Popiołu i diamentu*, co mówić o innych? Dobrze obrazuje to panujący w ZLP strach przed nietaską.

B.P. – Związek był bardzo upartyjniony?

S.L. – W 1953 r. przeszło 30 proc. członków oddziału warszawskiego należało do PZPR. Po 1956 r. nieco mniej, około 20 proc. Wśród partyjnych członków związku najbardziej wyrazistą postacią był Jerzy Putrament. Uosabiał wszystkie cechy oddanego partyjniaka. Zaczął od członkostwa w Związku Radzieckich Pisarzy Ukrainy, był współtwórcą Związku Patriotów Polskich i I Armii Polskiej, pisał w „Czerwonym Sztandarze”, od początku był w PPR.

A.C. – Wywodził się z wileńskiej grupy literackiej „Żagary”, do której należeli też Antoni Gołubiew, Czesław Miłosz, Jerzy Zagórski, ale niektórzy jej członkowie (Henryk Dembiński, Stefan Jędrzychowski) posterowali jeszcze przed wojną w stronę komunizmu. Cała „elita” pisarska, z drobnymi wyjątkami, była w partii.



J.S. – Organizacja partyjna była nieliczna...

A.C. – ...ale kadrowa, licząca się w sensie intelektualnym...

J.S. – ...i nadawania tonu, dyktatu w środowisku.

A.C. – Z założenia, szczególnie w okresie stalinowskim, to była „elitarna” organizacja. Partia nie przyjmowała każdego, kto się zgłosił. Trzeba było się starać, wykazać swoje zaangażowanie, szczególnie w tak zwanym okresie kandydackim.

J.S. – Czytałam protokoły „przesłuchań” kandydatów do partii. To jak Mrożek i Gogol – prześwietlano ich bowiem bardzo dokładnie, sprawdzano pochodzenie dziadków, teściów, żon. Pytano kandydata, czy żałuje, że ktoś z nich jest „reakcyjny”, wymuszano zerwanie kontaktów i „odcinanie się”.

W czasach stalinowskich obowiązywał sowiecki model Związku, czyli podział na sekcje poetów, dramaturgów, powieściopisarzy. Kolektywne sekcje miały zebrania, zwykle o ósmej rano, a spóźnialscy musieli usprawiedliwiać się przed przewodniczącymi – Broniewską, Dziarnowską czy Putramentem. Żeby nikt nie napisał czegoś nieodpowiedniego, czytano na głos swoje utwory, koledzy zgłaszali wnioski, które trzeba było uwzględnić – przerabiać utwory. W *Dziennikach Tyrmanda* jest słynna scena, gdy Melania Kierczyńska pastwi się nad książką Konwickiego, że w partiach miłosnych brakuje partii. Takie sceny były wtedy w Związku na porządku dziennym. Był bowiem swoistą kolonią karną, zakładem wychowawczym, kontrolującym nie tylko twórczość, ale i życie osobiste kolektywu. Zwłaszcza na zebraniach partyjnych, „na Egzekutywie” czołgano pisarzy, każąc tłumaczyć się, dlaczego zdradzają żony, one natomiast pisały listy do POP, które publicznie czytano. Sekcje zlikwidowano dopiero po Październiku.

S.L. – Pisarze byli też dyspozycyjni w inny sposób – podpisywali różnego rodzaju listy i oświadczenia, jak chociażby potępiające oskarżonych w procesie Kurii krakowskiej w 1953 r.

J.S. – Choć oskarżeni dostali wyroki śmierci i dożywotniego więzienia, poparła to, niestety, plejada wybitnych krakowskich nazwisk – Jan Błoński, Kornel Filipowicz, Sławomir Mrożek, Wiśława Szymborska, Jerzy Lowell, Julian Przyboś.

A.C. – To był szczególny czas, wyznaczony także przez sytuację międzynarodową, wojnę w Korei, „walkę o pokój”, i walkę ze stonką ziemniaczaną.

S.L. – Pisarze tworzyli „zaangażowane” utwory lub angażowali się w *stricte* polityczną działalność, jak Leon Kruczkowski czy Wojciech Żukrowski. Ale jednak czymś zupełnie wyjątkowym było napisanie listu w sprawie odbywającego się procesu Kurii. Większość społeczeństwa wiedziała, o co w całej tej sprawie chodzi, a pod tym obrzydliwym listem widnieją nazwiska literatów powszechnie nie znanych. Pamiętajmy przy tym, że przez długie lata peerelu pozycja społeczna literatów była niesłychanie wysoka, choć sztucznie wywindowana.

A.C. – Przy okazji takich pokazowych procesów odbywały się zebrania, wiece. Na nich z klucza występowali przedstawiciele różnych profesji, także oczywiście literaci, którzy pto-

miennie przemawiali w obronie pokoju, przeciwko amerykańskiemu imperializmowi itp. To była również pewna forma promowania tego zawodu. Ten wątek nie jest jeszcze źródłowo zbadany, pewnie sporo materiałów znajduje się w archiwach Polskiej Kroniki Filmowej.

J.S. – To była też niezła fucha, bo z racji „pokoju” Iwaszkiewicz zwiedził chyba pół świata, jako że stał na czele Polskiego Komitetu Obrońców Pokoju.

B.P. – **Powróćmy do działań bezpieczeństwa wobec środowiska pisarzy.**

J.S. – Zajmowała się najpierw głównie tymi z „przeszłością”. Później, nie tylko inwigilowała środowisko, ale także sterowała Związkiem przez „swoich” ludzi – w Zarządzie Głównym, w oddziałach, w POP i Egzekutywie. Próbowano tymi kanałami „rozdawać karty”. Lata stalinowskie były najczarniejszym okresem w Związku. Pierwszy moment sprzeciwu to rok 1956, kiedy odbywały się w ZLP słynne rozliczeniowe zebrania. Leon Kruczkowski, twardegłowy partyjniak, przestał być prezesem. Nowym został Antoni Słonimski, symbol „odwilży”, ale na krótko, bo był zbyt liberalny, „kawiarniany”. Odwilż zresztą szybko odrąbiono. Następną próbą buntu był „List 34” i kolejne opozycyjne inicjatywy, zwłaszcza w latach siedemdziesiątych, jak „List 17” w obronie członków „Ruchu” i Polaków w ZSRS; tzw. „Memoriał 59” przeciw zmianom w Konstytucji PRL, które podpisywało wielu liczących się pisarzy: Słonimski, Herbert, Kisielewski, Andrzejewski, Kijowski. Opozycja była jednak nieliczna, rozbita, siły pro-rządowo-partyjne – znacznie silniejsze, wspomagane przez SB, zorganizowane.

S.L. – Podobne procesy miały miejsce w świecie filmowców. Od początków peerelu film został bardzo mocno wprzęgnięty w politykę i działalność propagandową. W tym środowisku od razu spacyfikowano wszelkie przejawy niepokorności, prób pokazania czegoś rzeczywistego – np., że osadnictwo na Ziemiach Odzyskanych nie było przyjazdem do krainy mlekiem i miodem płynącej. Pokazywano martyrologię obozów koncentracyjnych (słusznie zresztą), historię heroiczną AL i GL. Marginalizowano przy tym rolę AK w II wojnie światowej, epatowano zagrożeniem dla Polski ze strony USA i ich sojusznika – RFN.

J.S. – Dla komunistów najważniejsza jednak była literatura, która najlepiej dawała się wpruć do propagandy. Stąd też kładziono na nią największy nacisk. Już w latach czterdziestych powstały ogromne imperia, czego przykładem był „Czytelnik” i Jerzy Borejsza, sterujący polityką wydawniczą i prasową. Później, w odróżnieniu od pustych sklepów mięsnych, w księgarniach było pełno książek, tylko jakich? O tamtych latach świadczy więc anegdota o panu, który przyszedł do księgarni i mówił konfidencjonalnym tonem do sprzedawczynie – a może ma pani coś do czytania? Bo w reglamentowanym rynku wydawniczym dobrą książkę zdobywało się jedynie spod lady, na zapisy. Wielu pisarzy, jak choćby Kisiel czy Jasienica byli „spod lady”, nie dostawali bowiem największych nakładów.

B.P. – **Osobnym tematem jest obecność na rynku literatury obcej – polityka tłumaczeń, dystrybucji itd. Mnie interesuje, w jakim stopniu w kraju istnieli polscy pisarze emigracyjni.**

J.S. – Chyba najlepiej określił to Kisiel na słynnym zebraniu w sprawie *Dziadów*, mówiąc o dyktaturze ciemniaków – braku Miłosza, najważniejszych emigracyjnych nazwisk

polskiej literatury, zniszczeniu naturalnego krwioobiegu życia literackiego. Emigrantów tworzących poza Polską nie mieliśmy w naszej kulturze bardzo długo. Napisałam książkę o Gombrowiczu, bo niewiele o nim wiedziałam – nie czytałam *Dzienników*, nie miałam do nich dostępu, choć były już lata siedemdziesiąte. Dostałam je w Paryżu w polskiej księgarni na Saint-Germain, gdzie za darmo dawano książki młodym Polakom. Podobno, na polonistyce przepisywano wtedy *Dzienniki*, nie było ksero. Tak długa nieobecność emigracyjnej literatury, to jedna z naszych „hańb domowych”.

B.P. – Nikogo nie wydawano?

J.S. – Z zachodnich pisarzy bardzo długo jedynie „postępowych”, lewicowych, a naszych, emigracyjnych w ogóle nie – rosty pokolenia, które nie miały pojęcia o Gustawie Herlingu-Grudzińskim, Andrzeju Bobkowskim, Jerzym Wittlinie, których przywrócił do świadomości dopiero rok 1989.

A.C. – Wydawano jedynie tych, którzy przyjechali do kraju, tak jak Melchior Wańkowicz, Teodor Parnicki czy Stanisław Mackiewicz.

S.L. – Nie można było wydawać książek pisanych przez „wroga”.

A.C. – Do 1956 r. podejmowano pewne próby, żeby skłócić emigrację, podzielić, rozbić choćby częściowo, jakoś ją okiełznać różnymi metodami, którymi posługiwały się służby specjalne. Wtedy obóz emigracyjny był dla komunistów jeszcze groźny. Później emigracja – z perspektywy kraju – straciła znaczenie. Tym, którzy przyjechali, dawano pewne możliwości rozwoju. Generalnie obowiązywał zakaz sprowadzania do kraju literatury emigracyjnej, przy czym książki paryskiej „Kultury” konfiskowano z zasady, a inne, wydane na przykład przez londyńską „Odnowę”, wedle uznania i kaprysu celnika.

S.L. – Przemycanie książek zza granicy stało się przedmiotem procesu „taterników”.

J.S. – Właśnie z tych powodów, w drugiej połowie lat siedemdziesiątych zaczęło się, i to w ogromnej skali, to niezwykle zjawisko, jakim był „samizdat”, czyli tzw. drugi obieg.

B.P. – Tworzyły się długie łańcuchy ludzi czytających jeden egzemplarz przemycanej czy nieoficjalnie wydanej książki.

J.S. – SB nie mogła już nad tym zapanować, choć kontrolowała i monitorowała. Niemniej była to straszliwa strata, że co najmniej dwa pokolenia nie poznały pewnych nazwisk i książek. Przecież Miłosz został oficjalnie wydany dopiero po Noblu.

S.L. – Jan Józef Szczepański w *Kadencji* opisał, jak wyglądała jego nominacja do nagrody. To było ustalenie kilku pisarzy. Ale jednocześnie padały pytania – kto to jest Miłosz, bo w kraju pozostawał nieznanym.

B.P. – W latach sześćdziesiątych SB aktywnie wkroczyła w środowisko literatów. Jak to się odbywało?

S.L. – Jeszcze wcześniej, w 1958 r. odbył się proces Hanny Rewskiej oskarżonej o współpracę z paryską „Kulturą”. W 1961 r. aresztowano Jerzego Kornackiego za przemyt dziennika, w którym ostro krytykował partię. W tym samym roku aresztowano Annę Rudzińską za przetłumaczenie książki Feliksa Grossa dla Instytutu Literackiego. W 1962 r. dostała za to rok więzienia. Zaangażowanie się literatów w działalność Klubu Krzywego Koła i Klubu Poszukiwaczy Sprzeczności było symptomem rodzącej się w środowisku literatów niezgody, której symbolami stali się – Paweł Jasienica, Antoni Słonimski, Stefan Kisielewski i kilka innych osób. Gomułka zareagował historycznie na „List 34” z marca 1964 r., który tak naprawdę nie był czymś niezwykłym.



ADAM WAŻYK

J.S. – To rzeczywiście był tylko pisk myszy, domaganie się spraw oczywistych.

B.P. – Dlaczego Gomułka tak się przeraził tego piśnięciem?

S.L. – Bo list wyłynął na Zachód. Jak oni mogli nie załatwić tego tutaj?! Przecież „środowisko” miało tyle kontaktów z partią! Wystarczyło pójść do odpowiedniego sekretarza i sprawę załatwić.

A.C. – Spróbuję wyciągnąć z tego dalej idący wniosek i postawić wyraźniejszą tezę. Mnie się wydaje (mówiąc oczywiście bardzo skrótowo), że zwycięstwo tego sytemu polegało na tym, iż przerwano ciągłość rozwojową kultury, zerwano więź z okresem międzywojennym, z ówczesnymi prądami w życiu umysłowym. Uczyniono to metodami stosowanymi też w sferze politycznej – czyli marginalizując to wszystko, co się wiązało się z Drugą Rzeczpospolitą. Wypromowano nową formację. W sferze kultury to się udało. Podobnie na wyższych uczelniach, ale tam trwało to trochę dłużej, bo żeby stworzyć nowe kadry w nauce potrzeba trochę więcej

PIOSENKA O COCA-COLA

Dobrze wam było pić Coca-Cola.
Ssaliście naszą cukrową trzcinę,
zjadali nasze ryżowe pola,
żuliście kauczuk, złoto, platynę,
dobrze wam było pić Coca-Cola.

My, co z bagnistych piliśmy studzien,
dzisiaj pijemy wodę nadziei,
męstwo, którego źródło jest w ludzie,
pijemy wodę w górach Korei,
my, co z bagnistych piliśmy studzien.

Po Coca-Cola błogo, różowo
za parę centów amerykańskich
śniliście naszą śmierć atomową,
pięć kontynentów amerykańskich.
Po Coca-Cola błogo, różowo!

My, co pijemy wodę nadziei,
wiemy, gdzie sięga dziś nasza wola:
wysłiście z Chin, wyjdziecie z Korei,
my wam przerwiemy sen Coca-Cola,
my, co pijemy wodę nadziei.

czasu. Sytuacja więc, z punktu widzenia systemu, była opanowana. Istniały dobrze funkcjonujące formy organizacyjne kierowania środowiskiem literatów. Niezależnie od tego, co stało się w 1956 r., aparat władzy nie utracił kontroli...

J.S. – ...trzymał lejce.

A.C. – Co więcej, uważał się za zwycięzcę, bo to środowisko jakby przyjęło jego punkt widzenia w sensie mentalności i rozumienia świata. Problem powstał dopiero wtedy, gdy „wychowankowie” systemu zaczęli się buntować – używając języka i sposobu pojmowania rzeczywistości, który ten system im wszczepił. W „Liście 34” pisarze i naukowcy zwracają się do państwa o zwiększenie przydziałów papieru – krytykują państwo, ale uznają jego dominującą rolę, jego funkcję właściciela i gospodarza sfery kultury. W systemach i instytucjach zideologizowanych taki bunt, nawet tak bardzo nieśmiały, jest traktowany jako coś bardzo groźnego. Inspiratorzy „Listu 34” chcieli, jak dziś można zakładać, nie tyle osiągnąć coś konkretnego, co wystąpić z demonstracją, która zostanie zauważona przez władzę. Rozpoczęła się swoista gra. Komuniści zawsze byli przeczuleni na punkcie kontroli nastrojów społecznych. To przybierało formy prześmieszne – jeśli na ścianie w ubikacji pojawił się jakiś niepoprawny napis, to robiono z tego sprawę polityczną, choć przecież można by taką aktywność zupełnie zlekceważyć. Rozgrywano podobne sprawy, by ludzie wyciągali z nich „odpowiednie” wnioski. Władza wykorzystywała przypadki „nieprawomyślności”, by „wychowywać”, oddziaływać, indoktrynować. Z „Listu 34” zrobiono aferę, żeby pisarzy zdyscyplinować, bo choć tak naprawdę nie uczynili oni niczego strasznego, okazali się niesforni. Zaczął działać samonakręcający się mechanizm – akcja-reakcja, powodujący wzajemną stymulację. Władza reagowała histerycznie różnymi działaniami, a literaci zaczęli równie nerwowo tej władzy się przeciwstawiać. Był to jednak nadal spór „w rodzinie” (co prawda coraz bardziej podzielonej). Bardzo długo pisarze mieli opory np. przed demonstracyjnym występowaniem z partii. Raczej woleli, żeby ich z niej wyrzucono. Prowadzili grę na przetrwanie, bardzo skomplikowaną, jeśli chodzi o intencje. Nie chcieli do końca zrywać więzów z władzą. Wtedy zaczął być potrzebny aparat bezpieczeństwa, bo kanały partyjne utraciły swoje znaczenie i skuteczność.

S.L. – POP nie tylko utraciła kontrolę nad środowiskiem, ale i wiedzę o nim. Ramieniem zbrojnym władzy była służba bezpieczeństwa, która zaczęła się przeorganizowywać i w latach 1962–1963 znacznie zwiększyła swe „zainteresowanie” literatami. Aparat bezpieczeństwa powoli dopasowywał się do nowych zadań. W Wydziale III SB Komendy Stołecznej MO w Warszawie, w październiku 1963 r. powstała Sekcja IVa, zajmująca się wyłącznie środowiskiem twórczym. Analogiczne struktury zaczęły też powstawać na niższych szczeblach. Rozpoczęto „rozpracowywanie” środowiska, przede wszystkim osób związanych z „Listem 34”, również tych, które pisywały do „Wiadomości Londyńskich”. Odbyły się procesy Melchiora Wańkowicza, Stanisława Cata-Mackiewicza, Januarego Grzędzińskiego, Janusza Szpotańskiego, Jana Nepomucena Millera, mające wielki wydźwięk propagandowy. Duży nacisk położono na werbunek agentury w środowisku literackim. Do komend wojewódzkich szły zalecania – sprawdzić, jak wygląda sytuacja w waszych oddziałach. Zacznięcie coś z tym robić, trzeba poddać to środowisko głębszej i pełniejszej kontroli. Dla mnie najbardziej wymownym jest przypadek Henryka Worcella. Do 1955 r. był tajnym współpracownikiem UB, ale w zupełnie innym środowisku – wiejskim, w miejscu swojego

zamieszkania. Nagle znalazł się w polu zainteresowania SB, dlatego że był literatem. Jako osoba kontrolująca swoje środowisko sprawdził się znakomicie. Zwerbowano go w połowie 1964 r.

B.P. – Ilu członków ZLP zwerbowano?

S.L. – Nie da się tego dokładnie określić, poza tym było to różnie w różnych okresach. Inaczej to wyglądało w dwóch największych oddziałach warszawskim czy krakowskim, a inaczej w oddziałach regionalnych. Generalną zasadą agentury w środowiskach twórczych było – nie ilość a jakość. SB werbowała ludzi, którzy mogli być tzw. agenturą manewrową, agenturą wpływu. Ich zadaniem było dostarczanie rzetelnych, analitycznych informacji, które pozwalały skutecznie kontrolować środowisko.

B.P. – Kto to był?

S.L. – Kazimierz Koźniewski, Wacław Sadkowski, Henryk Worcell, Andrzej Kuśniewicz, Lech Isakiewicz, Andrzej Szczypiorski, Jerzy Wittlin, Andrzej Brycht, Jan Maria Gisges – wymienięm tych zaangażowanych, „twórczych”. Ich donosy szły do najwyższych urzędników państwowych i partyjnych, czyli sekretarzy KC PZPR ds. Kultury. W latach osiemdziesiątych kształtowały politykę partii wobec środowiska literackiego. Docierały na biurko Witolda Nawrockiego, Waldemara Świrgonia, Andrzeja Wasilewskiego, przede wszystkim jednak do ministrów kultury Kazimierza Żygulskiego, Aleksandra Krawczuka oraz do Wojciecha Jaruzelskiego i Mieczysława Rakowskiego. Te donosy były „przekuwane” na konkretne decyzje dotyczące polityki kulturalnej w Polsce. Decyzje zapadały w trójkącie: Wydział Kultury KC PZPR i sekretarz ds. Kultury KC PZPR; MKiSz oraz SB.

B.P. – Worcell reprezentuje pokolenie pisarzy, którzy debiutowali przed wojną, pozostali kształtowali się w powojennym społeczeństwie.

S.L. – Worcell wydał swoje *Zakłęte rewiry* przed wojną, miał kłopot z wydaniem ich po wojnie. Potrzebował wsparcia, a ambicjonalne względy odgrywały w tym środowisku bardzo istotną rolę. Książkę wydał w 1969 r. Musiał się wzmocnić. Mścił się za rodzaj pogardy, jaką okazywali mu Tymoteusz Karpowicz czy Zbigniew Kulikowski.

A.C. –W środowisku literackim istniało kilka kategorii agentów SB. Nie mówię o formalnej klasyfikacji, to znaczy podziale na kontakty obywatelskie, poufne czy tajnych współpracowników. Pierwsza kategoria to te osoby, które sporządzały – bardzo zresztą wnikliwe – analizy sytuacji w środowisku, a jednocześnie dostarczały wiedzy na temat możliwości sterowania związkiem. Jan Maria Gisges odegrał bardzo ważną rolę w stanie wojennym, podpowiadając pewne rozwiązania, pewien kurs polityki wobec konfliktu, który ujawnił się w tonie środowiska literackiego.

S.L. – Ci ludzie nie bali się krytykować partii za to, co robi. Sadkowski i Gisges pisali otwartym tekstem, że popełniono ogromny błąd represjonując osoby, które poparły nowe związki, bo tym ludziom też trzeba coś dać, trochę „marchewki”. Powstały nowy ZLP nie może opierać się na ludziach z nic niemówiącymi nazwiskami. Do związku należy przyciągnąć

ludzi o jakiejś popularności, o słynnych, „dobrych” nazwiskach, którzy mogą legitymizować ten związek.

A.C. – Druga kategoria, to ci, którzy informowali o różnych pikantnościach, o sprawach personalnych. Te informacje może nie były tak cenne, ale chodziło o pewną zasadę – o to żeby mieć swoją siatkę i żeby informatorów utrzymywać w stanie napięcia i gotowości. Trzecia kategoria, to ludzie ze środowiska, którzy wyjeżdżali za granicę i mogli być przydatni nie tyle przy rozpracowywaniu samej emigracji, co pewnych powiązań między krajem a emigracją. Prowadził ich wywiad czy kontrwywiad. I wreszcie kategoria czwarta, dość rzadka i mało liczna, ale czasami w dokumentacji archiwalnej są ślady jej istnienia – to osoby, które SB traktowała jako kapitał w grze operacyjnej zaplanowanej na długie lata. Paradoksalnie był taką osobą Andrzej Brycht. Do czego można było go użyć? Nie do rozpracowania sytuacji w kraju – on się do tego nie nadawał, bo był nie lubiany; nie do rozpracowania emigracji – bo on wśród niej stosunkowo rzadko się obracał, nie pozwalano mu podróżować. Zamierzano go użyć jako agenta, którego się podstawili Amerykanom w ramach walki wywiadów. Miał chodzić do ambasady amerykańskiej i poznawać tamtejszych dyplomatów, żeby potem wywiad mógł nabytą wiedzę wykorzystywać do swoich gier operacyjnych. W doniesieniach Brychta pojawia się, trochę *en passant*, taki wątek – „postępowałem zgodnie z procedurą”, „zgodnie z instrukcjami”. On już nie był amatorem, został przeszkolony do wykonywania określonych zadań, prawdopodobnie uczono go, jak należy rozmawiać, jak zdobywać informacje, rozgrywać pewne sytuacje towarzyskie. Oczywiście, często mu się nie udawało: skarżył się na przykład, że trudno mu ustalić spotkanie ze stosownym wyprzedzeniem, żeby SB mogła w miejscu spotkania zainstalować swój podsłuch. Bo przecież taki *attache* ambasady amerykańskiej w Warszawie, przeszkolony z kolei przez CIA, nie był w ciemię bity, umawiał się w ostatniej chwili.

J.S. – Była też kategoria „konsultantów”, którzy recenzowali książki i być może robili największe szkody, bo atakowali to, co dla autora było najważniejsze, czyli dzieło. Oczywiście SB miała też swoich ludzi w różnych wydawnictwach, w rezultacie więc książkę albo odrzucano, albo łądowała na końcu planu wydawniczego, odsyłana ciągle do poprawek. Było wielu konsultantów, czołowym przykładem jest Wacław Sadkowski, a także Lech Isakiewicz, czyli TW ps. „Kasander”.

A.C. – Istnieje przekonanie, że w Moskwie, w archiwach rosyjskich, są jakieś materiały, które mogłyby wiele spraw wyjaśnić. Zapewne. Ale mnie się wydaje, że ogromna wiedza mogłaby spłynąć do nas z archiwów amerykańskich, francuskich, niemieckich. Nie jesteśmy dopuszczani do tych materiałów, ale tam z pewnością są ciekawe dokumenty.

J.S. – Na konferencji we Wrocławiu Ewa Matkowska mówiła, że zajmuje się współpracą polskich pisarzy ze STASI, która szczególnie w latach osiemdziesiątych instalowała swoich agentów w Polsce.

S.L. – W roku 1969 odbył się w Bydgoszczy zjazd ZLP, na którym władze przeforsowały zmiany w sposobie kooptowania członków Zarządu Głównego ZLP. Prezesi oddziałów weszli z nominacji do prezydium ZG i mieli ogromny wpływ na wybór prezesa. SB miała

więc mnóstwo pracy w oddziałach regionalnych – chodziło o to, by mieć jak największy wpływ na wybór ich prezesów, bo oni wybierali spośród siebie prezesa ZG ZLP. Nie musieli współpracować z SB, wystarczyło, że byli „po linii”. Tym sposobem Jarosław Iwaszkiewicz był wybierany na tę funkcję aż do swojej śmierci w 1980 r. W regionach TW odgrywali wtedy ważną rolę. Uczestniczyli w zamkniętych zebraniach, odbywających się np. w prywatnych mieszkaniach – trójka bardzo wpływowych osób, typu Worcell, ze swoimi ludźmi i typowali, kogo wyeliminuje się z gry, kogo się spacyfikuje, kto będzie desygnowany na prezesa.

B.P. – I to się udawało?

J.S. – W wielu wypadkach, do 1980 r., tak.

J.S. – A pisarze krzepią się ciągle mitem rzekomo wolnych wyborów.

S.L. – To było ogromne zwycięstwo zarówno SB, jak i partii, że udawało im się mieć wpływ i kontrolować sytuację.

A.C. – Wygrywano też tzw. koła młodych.

S.L. – Koło Młodych ZLP zostało w pewnym momencie przez SB uznane za rezerwar potencjalnych TW i ludzi „oddanych”. I choć w latach siedemdziesiątych zmieniła się atmosfera polityczna i cała sytuacja opozycji, to pewne rzeczy im się udały. Z Koła Młodych pochodził przecież Isakiewicz i kilka innych „osobowych źródeł informacji”. Oni mieli duży wpływ na kształtowanie sytuacji w oddziałach regionalnych. Isakiewicz był ponadto aktywnym dziennikarzem, współpracownikiem krakowskiego „Studenta”.

J.S. – Pisywał także do „Nowego Wyrazu”.

S.L. – To była typowa agentura manewrowa. Wykorzystywał ich również Departament I. Gdy Isakiewicz wybierał się do Sztokholmu, sam się ofiarowywał, że będzie inwigilował tamtejszą emigrację i opozycję.

B.P. – Czy w historii peerelowskiego ZLP i jego inwigilacji było coś szczególnego, co wyróżniało to środowisko spośród innych środowisk twórczych i intelektualnych?

J.S. – Może w stanie wojennym, gdy – jak dziś już wiemy – nie tylko przy pomocy WRON-y, ale i SB „koledzy” wbili „kolegom” nóż w plecy, zakładając nowy związek.

B.P. – No, ale to samo zrobili dziennikarze zakładając „dupereł”...

S.L. – Powstały także cztery związki plastyczne i związek filmowy. Jedynym stowarzyszeniem, którego nie udało się do końca spacyfikować, był PEN CLUB, z powodu jego umiędzynarodowienia.

J.S. – Władze rozwiązały PEN CLUB, pozostawiając jego zarząd, czyli to było „zawieszenie”.

A.C. – Istnieje pewna specyfika środowiska literackiego. O tyle nie zgadzam się z panią Joanną, że mimo wszystko pisarzami było trudniej sterować, na pewno trudniej niż filmowcami, co wynika z kwestii organizacji pracy. Nie można samemu zrobić filmu, a pisarz jednak może coś napisać, może to mu się uda kiedyś wydać na emigracji, od pewnego momentu w „drugim obiegu”. Pani powiedziała, że każdy pisarz to narcyz. Ta cecha trochę pomogła temu środowisku. Zbyt wiele było w nim indywidualności, więc od pewnego momentu nie można było wszystkich wepchnąć do jednego worka. Nawet plastynom trudno było zorganizować wystawę prywatnie, pisarze jakoś sobie z tym lepiej radzili.

B.P. – Poza tym w latach osiemdziesiątych pojawił się ten bardzo wyraźny patronat Kościoła nad środowiskami twórczymi.

J.S. – Podobno w środowisku filmowym było tak dużo agentury, że przekroczono limit, już mieli dość i więcej nie brali. Czy tak było i w środowisku literackim?

S.L. – Środowisko filmowe jest najmniej poznane. A z działania aparatu bezpieczeństwa wynika jednoznacznie, że ZLP był „szpicą”. Artykuły w prasie inspirowane przez SB, podpisywane np. przez Koźniewskiego czy innych, dotyczą głównie środowiska literackiego. ZLP był więc pod najsilniejszą kontrolą. Część funkcjonariuszy SB z pionu zajmującego się środowiskami twórczymi wywodziła się z wydziałów polonistyki, historii, prawa, a jeśli nie, to robili humanistyczne studia podyplomowe. Płk Tadeusz Chlebicki jest autorem opracowania *Założenia polityczno-programowe paryskiej Kultury po 1968 r.*, płk Edward Chuchnowski napisał pracę *Oddziaływanie paryskiej „Kultury” na środowisko intelektualne Warszawy w latach 1964–1969*, a płk Henryk Walczyński – *Wybrane problemy antykomunistycznej działalności Instytutu Literackiego w Paryżu (na przykładzie analizy Zeszytów Literackich)*, za którą otrzymał nagrodę ministra spraw wewnętrznych w 1976 r. Gen. Krzysztof Majchrowski, główny „spec” Wydziału IV Departamentu III od środowisk twórczych publikował w „Życiu literackim”, w „Polityce”. Marek Nowakowski pisał w swojej książce, że z Majchrowskim można było porozmawiać o Faulknerze, o literaturze w ogóle. Miał dużą wiedzę teoretyczną, specjalistyczną. W latach 1977–1978, po reorganizacji i rozbudowie struktur komend wojewódzkich, w niektórych regionach kraju Sekcje IV Wydziałów III SB komend wojewódzkich w 100 proc. składały się z funkcjonariuszy z wyższym wykształceniem. Żeby rozmawiać z literatem i wyciągnąć od niego informacje analityczne, trzeba było wiedzieć, o czym się rozmawia. W niektórych przypadkach rozmówcy byli po prostu kolegami ze studiów.

B.P. – W latach siedemdziesiątych taka była strategia SB, żeby konkretne środowiska rozpracowywali ludzie z nich się jakoś wywodzący.

S.L. – Tak, trzeba zburzyć taki stereotyp, że funkcjonariusze, którzy rozpracowywali literatów, nie bardzo wiedzieli o czym z nimi rozmawiać, więc wyciągali głównie sprawy łózkowe i obyczajowe. To nieprawda. Oni nieźle się orientowali, o czym rozmawiać i co chcą uzyskać. Celem była neutralizacja i pacyfikacja niepokornych postaw, zaangażowania w opozycję.

A.C. – To samo dotyczy środowiska naukowego. Tym, którzy angażowali się w „podpisywanie listów” w latach siedemdziesiątych zakładano „sprawy operacyjnego sprawdzenia”. Po obserwacji, gdy okazywało, że oni już dalej się nie angażują, bo uznali, że popełni-

li błąd, albo nie wolno narażać kariery – sprawę zamykano bez żadnych konsekwencji. Wbrew mitom nie chodziło o to, żeby wsadzać do więzień, represjonować itd.

S.L. – Kontrolować, obserwować, zapobiegać.

B.P. – Stan wojenny zaskoczył ludzi kultury zgromadzonych na Kongresie Kultury Polskiej. Myślę, że wtedy nastąpiła rzeczywista integracja elity twórczej i intelektualnej. Nie na wieki. Bardzo szybko znów ujawniły się postawy oportunistyczne. Ale zaczęły zmieniać się czasy. Twórcy przestawali być elitą i koryfeuszami społeczeństwa.

J.S. – Środowisko pisarskie uważa, że było tak opozycyjne, iż za karę zostało rozwiązane w stanie wojennym. Ogólnie jednak związek był uległy, prowadzony, a protesty wybuchwały jedynie od czasu do czasu. O rozwiązaniu zdecydował przede wszystkim okres „Solidarności” i ostatniego zarządu, który był rzeczywiście bardzo rewolucyjny, „korowski” – jak pisali esbecy – weszło do niego sporo pisarzy, którzy na pewno nie byli im w smak – Marek Nowakowski, Irena Lewandowska, Jan Józef Szczepański, Jan Józef Lipski, Marta Fik, Leszek Prorok itd. SB uważała, że był to zarząd pod auspicjami KOR, nad którym utraciła kontrolę, a to było dla niej nie do przelknięcia.

A.C. – Środowisko literatów było ważne do końca peerelu, choć były już początki kultury masowej, wkraczającej w latach siedemdziesiątych za pośrednictwem telewizji Szczepańskiego. Całkowita zmiana hierarchii w kulturze nastąpiła dopiero w latach dziewięćdziesiątych. Do końca peerelu jednak prestiż związany z byciem pisarzem, wybitnym aktorem był na tyle silny, że jakaś ówczesna Doda nikomu nie zagrażała.

J.S. – Kongres Kultury Polskiej odbywał się w okresie solidarnościowym, był wolny, pełen buntu, ważnych przemówień, rzeczywiście się liczył. Czytałam jakieś sprawozdania esbeków z poprzednich kongresów, w których oni sami przyznawali, że to „w ogóle nikogo nie interesuje”, że to fasadowe, nudne imprezy. A ten z 1981 r. był wolny, dlatego tak brutalnie przerwany, dlatego obrósł w legendę. Ktoś mi opowiadał – już się mówiło, że są ruchy wojsk – podchodzą do Jerzego Turowicza, który miał właśnie przemawiać, że coś się szykuje. A on mówi „Co, w trakcie Kongresu Kultury Polskiej?! Co by na to powiedział świat?!”



S.L. – Komuniści popełnili błąd. W roku 1980, przed Walnym Zjazdem ZLP, po śmierci Iwaszkiewicza, nastąpił istotny spadek roli PZPR w Związku i całkowita utrata kontroli nad nim. Powołano przejściowy zarząd pod kierownictwem Putramenta, ale to już był jego schyłek. W związku zaczął się bardzo poważny ferment, przegłosowano na zjeździe ideę nowych wyborów do ZG. Wyrzucono z zarządu prezesów z oddziałów i powrócono do poprzedniej formuły. Wybierano prezydium w wyborach powszechnych, a ono wybierało spośród siebie prezesa ZG. Wybrano Jana Józefa Szczepańskiego, ale on wcale nie był jakimś radykałem. Doskonale wiedział, że z tymi władzami trzeba się jakoś układać, że trzeba z nimi rozmawiać. Po ogłoszeniu stanu wojennego internowano literatów i członków innych środowisk twórczych. Spowodowało to natychmiastową reakcję – kolejne listy protestacyjne do Jaruzelskiego, do władz o uwolnienie internowanych. Rzeczywiście, w tonie ZLP rozpoczęła się konsolidacja pewnej grupy opozycyjnej, ale nie takiej znów wielkiej. Związek liczył 1300 członków, tę grupę SB oceniało najpierw na 50, potem na 100 osób, według najbardziej optymistycznych szacunków mogła ona liczyć do 200 osób. Grupa była bardzo krzykliwa, widoczna i miała duży wpływ na środowisko. Była akcją odsyłania książek współpracującym z reżimem Jaruzelskiego autorom, pisarze dołączyli do aktorskiego bojkotu oficjalnej kultury stanu wojennego. Bardzo źle odebrano wystąpienia w telewizji Worcella, Przymanowskiego, Safiana, Centkiewicza, osób znanych z pierwszych stron gazet, które były związane z reżimem. To był czas, kiedy wybory były bardzo jasne i proste. Jaruzelski nie wyczuł sytuacji i desygnował najpierw na ministra kultury i sztuki Żygulskiego, a następnie Waldemara Świrgonia na sekretarza KC ds. kultury. I tutaj, moim zdaniem tkwił błąd ekipy Jaruzelskiego w postępowaniu wobec literatów i innych środowisk. Najłatwiej porozumiano by się z odsuniętym w październiku 1982 r. Józefem Tejchmą, który „wyczuwał” te środowiska. Szczepański w *Kadencji* pisze – a kto to jest Żygulski? Ja tego człowieka nie znam. I za chwilę pojawia się Świrgoń jako sekretarz ds. kultury, dwudziestoosmioletni człowiek nie mający za grosz oglądy, a to środowisko trzeba było „dopieszczać”.

B.P. – A pan sądzi, że gdyby je dopieszczał, to wydarzenia potoczyłyby się innym torem? Ja myślę, że oni robili błędy na miarę czasów, naprawdę tracili głowę.

S.L. – A jednak w neo ZLP, w 1986 r. była już ponad połowa członków dawnego związku. Udało im się przyciągnąć również wielkie nazwiska.

J.S. – Co? Kogo na przykład? Proszę o nazwiska!

S.L. – Może nie wielkie pisarsko, warsztatowo, ale popularne, rozpoznawalne w społeczeństwie – Zbigniewa Nienackiego, Czesława Centkiewicza, Janusza Przymanowskiego, Sewerynę Szmaglewską, Hannę Ożogowską.

J.S. – Nie mieli w Związku ani pozycji, ani nazwiska. Nie mogli się równać z nikim z zawieszzonego Zarządu. Przykro mi, ale tzw. Zlep, zwłaszcza w pierwszym okresie, bo potem było już inaczej, nie przyciągnął liczących się nazwisk. O jego „zdobyczach” Zbigniew Herbert napisał fraszkę:

„Hołuj, Żukrowski, Przymanowski, Lenart,
Czterej pancerni, mierni, ale ujdzie.
Na nowy serial, byłby niezły temat,
Cóż, gdy za nimi, żaden pies nie pójdzie”.

A.C. – Na początku stanu wojennego władza miała nadzieję, że pozyska jakieś ważne postaci i wykonała parę ruchów, które miały wskazywać, że nie chce pacyfikować, a jedynie „neutralizować” środowisko twórcze i naukowe. Stąd ta „herbatka” u generała Jaruzelskiego z profesorami PAN i rektorami wyższych uczelni, stąd też zabiegi skierowane w stronę środowiska literackiego. Jak mówił w kwietniu 1983 r. Henryk Kubiak (członek Biura Politycznego PZPR) Janowi Szczepańskiemu: popełniście błąd, zakładając, że „Solidarność” się utrzyma i że będzie ona waszym zapleczem, a tymczasem „Solidarność” już nie ma. Jeśli nie pójdziecie na kompromis z władzą, to Jaruzelski nie ma wyboru, będzie musiał obstawiać takie „szmatławe elementy inteligencji”, jak Józef Lenart i Jerzy Grzymkowski. A ponieważ jednak nie było odzewu na tę propozycję współpracy, to Jaruzelski poszedł w takim właśnie kierunku. Elita nie dała mu żadnych swoich nazwisk, które mogłyby jego ekipę uwiarygodnić. Nienacki pisał te swoje powieści pornograficzne. W nowym ZLP nie pojawił się żaden „ktoś”.

J.S. – Było jedynie dwóch wybitnych pisarzy, którzy zgłosili akces do „Zlepu”, starców, których przepukiono ofertą wydawniczą – Kazimierz Truchanowski, któremu obiecano wydanie ostatnich tomów *Młynów Bożych* i Leopold Buczkowski, autor *Czarnego potoku*. Prezesem „Zlepu” została Halina Auderska, krążył więc dowcip – czy kobieta po osiemdziesiątce może zostać k...? Raczej nie, to tylko Auderskiej się udało. Na ogół tam byli ludzie typu Lenarta, choć dziś to oni zdobyli więcej członków niż Stowarzyszenie Pisarzy Polskich, są aktywniejsi, mają pieniądze, nie wiem skąd. W SPP przyjmują autorów przynajmniej dwóch książek, oni natomiast adeptów.

S.L. – Rozbicie związku na dwa, konkurujące ze sobą było – moim zdaniem – zwycięstwem SB i jego tajnych współpracowników. Trzeba powiedzieć, że powstałe w 1989 r. „nonkonformistyczne” Stowarzyszenie Pisarzy Polskich miało wśród swych „znakomitych” członków ludzi, którzy byli uwikłani w stalinizm, jak Szczypiorski, Drawicz, Szymborska i wielu innych. Oni nie zawsze musieli być agentami, ale mieli na sumieniu różne rzeczy z wczesnej młodości – flirt z władzą. Zarzut jest taki, że oni o tym „zapomnieli” i wymazali to ze swoich życiorysów.

J.S. – Do dziś trwają takie oskarżenia – wy macie grzechy z okresu stalinowskiego, a wy ze stanu wojennego, paktowaliście z generałami, choć na ulicach stały czołgi. Krąży też dowcip, że wspólną mamy tylko toaletę. A tak naprawdę dziś pisarzowi związek nie jest do niczego potrzebny. Powinien, jak Kochanowski siedzieć pod lipą, być sam. Być dobrze opłacany, otrzymywać honoraria, które pozwolą mu żyć, a nie czepiać się związków. Chwała Bogu, że ten etap mamy za sobą, „uzwiązkowanie” nie jest obowiązkiem, wreszcie się z niego wyzwalamy.

S.L. – W 1989 r. esbecy pisali, że nowopowstające SPP zajmuje się działalnością polityczną, chociaż buntować się już właściwie nie miało przeciw komu, bo trwał „okrągły stół”. W tym czasie ZLP zajmował się sytuacją materialną pisarzy, którzy nie mieli za co żyć, nie mieli gdzie mieszkać, bo wyrzucano ich z tych nadanych przez partię poddaszy, mieszkań, dodatkowych pokojów.

B.P. – Tak, czy inaczej, do tej pory zbieramy żniwo czasów, kiedy literaci byli „w ramiach” partii i SB i tego, że nie rozliczyli się z tego flirtu. Honorowani najwyższy-

mi nagrodami literackimi, kreowani do dziś na autorytety moralne, a jednocześnie splamieni bardzo silnie swoimi działaniami w latach pięćdziesiątych.

J.S. – Zgadzam się, że konsekwencje trwają. Skolektywizowano pisarzom umysły i nadal trudno im się rozstać ze związkiem, dla którego, moim zdaniem, jedyną szansą jest powrót do tradycji przedwojennych, może nawet zmiana nazwy na związek zawodowy, cechowy, branżowy?

A.C. – To jest dość trudna sprawa. Mnie się wydaje, że jedyny istotny ślad, jaki pozostał po tym wszystkim dzisiaj (a Polska współczesna jest już zupełnie innym krajem, krajem gdzie dominuje kultura masowa, a społeczna ranga pisarza jest niska), jest taki, że właściwie strasznie trudno zmierzyć się z okresem komunistycznym w Polsce. Upowszechniany wizerunek tego, co stało się z Polską w peerelu, jest domeną części „elit”, które mają się dobrze i bronią skutecznie swojej wizji przeszłości. W ich wizji hierarchia ważności, autorytetów, interpretacja świata znaczeń jest bardzo klarowna i czyniona pod dyktando sił i osób, które były bardzo mocno zaangażowane w tamte czasy. To nawet w naszej rozmowie wyszło, że w gruncie rzeczy jeszcze bardzo mało wiemy o historii polskiej kultury w peerelu. Jest wielkie pole działań, które nie zostało w sposób elementarny zagospodarowane badaniami. Parafrazując znane powiedzenie – gdy wiedza śpi, to żywotne są upiory. I te upiory – w sensie nierzetelnego, pełnego przemilczeń pokazywania tamtych czasów – są bardzo silne. A jednocześnie nie ma klimatu do tego, żeby o tym rozmawiać w sposób otwarty. Istnieje zbyt wiele uwikłań generacyjnych, środowiskowych. I są jeszcze media, bardzo teraz silne w Polsce – ta wielka władza, którą one mają jest używana po to, żeby ten świat przedstawiać jako nie do końca opisywalny, jako świat relatywny. To na pewno jest pozostałością „starego”.

J.S. – Wyszła niedawno wydana w IPN książka *Marzec w dokumentach MSW*, bardzo interesująca, z masą przypisów o agenturalnej przeszłości wielu pisarzy. I nic, żadnej reakcji środowiska, które milczy, może zresztą bardzo wymownie?

S.L. – Pokutuje takie przekonanie, że werbunek zawsze miał charakter formalny. A w tym środowisku były to w wielu przypadkach kontakty nieformalne, bez paktów, cyrografów. Tak czy inaczej, historię literatury polskiej należy napisać na nowo.

